ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 5-go Sierpnia 1897. Nr. 31.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

— Jaki ja byłem głupi — rzekł do siebie z głęboką niechęcią, — że chciałem ujmować się za uwięzionymi chrześcianami! A jednak edykt cesarski miałby w oczach biskupa Milcyadesa daleko większą wartość, gdybym mu mógł był równocześnie donieść o ułaskawieniu wszystkich skazanych na śmierć. Bądź co bądź, edykt zwracający niby chrześcianom ich kościoły i cmentarze, był w oczach jego klejnotem nieoblizonej wartości, a Herakliusz nie wątpił ani chwilę, że za tę cenę kupi sobie od Papieża bezwarunkowe i natychmiastowe przyjęcie do wspólnictwa kościelnego. W ten sposób najcięższy kamień stojący mu na przeszkodzie w odzyskaniu łaski Konstantyna, byłby stanowczo usunięty. — Gdy zwrócę Kościołowi jego cmentarze, kościoły i pobożne zakłady — mówił sam do siebie Herakliusz — to, wyrządzę mu takie dobrodziejstwo, które naprawi wszystko, co mi zarzucają, a co przedewszystkiem było z winy papieża Euzebiusza, który zachowywał się względem mnie z przesadzoną surowością. Jeśli mi teraz biskup Milcyades pomoże w ominięciu wszelkich niebezpieczeństw, w takim razie okażę Kościołowi nadzwyczajną gorliwość w jego wzmocnieniu i więcej mu się przez to przysłużę, niż przez kilkoletnią surową pokutę.

Były to dobre postanowienia, ale latorośle bez owocu, niepłodne, nie ogrzane słonecznem ciepłem łaski bożej, lecz owiane gorącym wiatrem trwogi chwilowej.

Herakliusz przez swoich szpiegów dowiedział się o miejscu pobytu biskupa Milcyadesa. Była to chatka w Suburze. Ponieważ jednak chrześcianie z nadzwyczajną ostrożnością pilnowali mieszkania papieskiego, więc Herakliusz tylko z wielkiemi trudnościami tam dotąd się dostał.

Gdy po upływie pół godziny wyszedł z chaty, zdradzała wykrzywiona twarz złość i wściekłość, pożerające wnętrze obłudnika.

Ku nadzwyczajnemu zdziwieniu Herakliusza, Milcyades odrzucił jego układy i obiecał mu tylko częściowe odpuszczenie kar kościelnych, zarazem jednak przypomniał, mu z świętą powagą karżące sądy boże, którym jeszcze żaden prześladowca Kościoła nie uszedł.

Pełen niechęci, że tak przykro się przeliczył, do żywego dotknięty groźbami Papieża, zmierzał Herakliusz ku Forum, rozważając w zgryzionem sercu nad innym środkiem, jakby ubłagać Konstantyna.

— Będę przeglądał sprawozdania senatu i spiszę nieprzyjazne wyrażenia

wrogich Konstantynowi senatorów. Może też znajdę w archiwum...

Nagle rozjaśniła się twarz jego:

— Mam już — zawołał — listy kapłana Gordyana do naczelnego dowódzcy Rufusa! Czyż mogę się lepiej jeszcze przysłużyć Konstantynowi?

W domu przyjął go syn jego Sabinus, niespodziewanem zapytaniem:

— A czy wiadomo ojcu, że były prefekt miasta Rufinus uciekł, czy też został uprowadzony z więzienia?

— Tyś chyba się dzisiaj upił — odparł gniewnie Herakliusz — mówże dokładnie!

— Albo choroba Rufina była tylko prostem zmyśleniem — tłómaczył Sabinus — a w takim razie on uciekł; albo też umarł i chrześcianie ciało jego zabrali. W każdym razie nie ma go już w więzieniu. Zdaje mi się, że mówię dokładnie.

Wiadomość ta wywarła na Herakliusza nader nieprzyjemne wrażenie i zastanowiła go. Nie przypuszczał on bowiem wcale, aby chrześcianie ukradli zwłoki Rufina, gdyż mogli takowe wydostać za opłatą, a nie potrzebowali narażać się na niebezpieczeństwo — a więc więzień musiał uciec. W tym przypadku mógł w razie zmiany panowania, spodziewać się straszliwej pomsty Rufina. Wtedy przyszła mu na myśl Walerya. Ona musiała bezwątpienia wiedzieć o ucieczce i o miejscu jego pobytu. Mając w ręku swojem córkę, pewnym był posiadania ojca.

— Idź więc natychmiast — rozkazał synowi — poślij siepaczy do Awentynu, do mieszkania Ireny. Jeśli tam dziewicy nie znajdą, niech szukają wszędzie, byle ją odszukali; do dziś wieczora chcę, aby została uwięzioną i dostawioną tutaj.

Odchodzącemu Sabinowi rzekł jeszcze Herakliusz:

— Obiecuję temu, który mi dziewczynę przyprowadzi sto sestercyi — dwieście sestercyi!

Herakliusz chodził teraz po swojej komnacie pełen zgryzoty i złości. Przypadkiem rzucił okiem na edykt cesarski; w swojej zapalczywości porwał go, podarł w kawałki i rzucił na ziemię.

Zaledwie to uczynił, przypomniało mu się, jak wielkiej doniosłości był ten dokument dla niego. Przez ten dokument mógł był bowiem Konstantynowi okazać swoją przychylność dla chrześcian.

To podrażniło go jeszcze bardziej.

Po upływie godziny powrócił Sabinus z wiadomością, że Walerya od wczoraj rana jeszcze do domu nie wróciła. W nocy przyszedł do mieszkania jakiś mężczyzna w ubraniu woźnicy, zbudził odźwiernego, mówiąc: iż idzie w poselstwie do Ireny, przytem dopytywał się trwożnie o swoję córkę, ale odźwierny nie wpuścił go do domu.

Herakliusz na tę wiadomość tupał nogą o ziemię z złości; właśnie przez to wszystkie jego knowania się popsuły, że podał Irenę jako matkę Kandyda i kazał ją uwięzić.

— Czemuż mi się też wszystko tak źle wiedzie? — zawołał z wściekłością.

— A jeszcze będzie gorzej — odpowiedział mu głos wewnętrzny.

Sądząc z tego, co mówił odźwierny o przebraniu mężczyzny za woźnicę, musiał Rufinus uciec za pomocą woźniców. Ale wiedział Herakliusz naprzód, że z woźniców nie wydobędzie nic, że wszyscy jednogłośnie zeznają, iż nie wiedzą o niczem.

Stróża przy bramie budowiska wzięto na przesłuchy. Z zapytań, jakie mu zadawano, poznał on zaraz, że owa niewiasta zręcznie go podeszła i uprowadziła Rufina z więzienia. Znając Rustykę z widzenia, mógłby ją z łatwością znaleść w dzielnicach miasta z tamtej strony Tybru, a w takim razie i byłego prefekta miasta możnaby bez trudności odszukać. Atoli przebiegły stróż-odźwierny uważał w interesie swego bezpieczeństwa za stósowne, milczeć o tem i wiernie obstawał przy tem, że na każdym wozie tak przy wjeździe jako i wyjeździe był tylko jeden woźnica, dodając: — Wzywam wszystkie bogi i boginie na świadectwo, że na żadnym wozie nie siedziało dwóch mężczyzn.

— Ależ w jaki sposób mógł się ten więzień ztamtąd wydostać? — rzekł z oburzeniem Herakliusz.

— Człowiek ten — odparł odźwierny — był tak wysuszony i wychudły, jak cień. Kto wie, może przedostał się przez jaką szczelinę w ogrodzeniu.

— Nie, nie; to niemożliwe!

— Panie, w takim razie nie mogę sobie tego inaczej wytłómaczyć, jak chyba czarami. Chrześcianie, to zawołani czarownicy. Słyszałem raz, że ich mistrz wszedł dziurką od zamku do mieszkania uczniów swoich i stanął nagle w pośród nich. Innym razem zamknięto go w jamie skalnej, wchód zaparto ogromnym kamieniem, którego dziesięciu ludzi z biedą mogło ruszyć, oprócz tego postawiono z jakie pół kompanii żołdaków na straży, aliści więzień jednak znikł następnego rana. Jeśli chrześcianie mają w zapasie tak silne czary, że potrafią za ich użyciem góry przenosić z miejsca na miejsce, to tylko się chyba temu dziwić należy, że już dawniej nie uwolnili prefekta miasta z więzienia.

Herakliusz był w najwyższym stopniu niezadowolony z przesłuchania stróża. Najmniejszego śladu nie zostawił mu zbieg, dokąd mógł się udać. Gniew jego jeszcze się wzmógł, gdy mu syn jego Sabinus, powracając wieczorem do domu, opowiedział, że w dzielnicy z tamtej strony Tybru, widział się z Waleryą idącą z jakąś inną pospolitą niewiastą.

— A czemuż jej nie pojmałeś? — rzekł z wściekłością Herakliusz.

— A bo to myślicie jest tak łatwo? — odrzekł szyderczo Sabinus. — Gdy ją zobaczyłem, zaraz rzuciłem się ku niej i ująłem ją za rękę. Aż tu owa druga niewiasta rzuca się na mnie, jak szalona, poczyna z wrzaskiem zwoływać wszystkich sąsiadów, z wszystkich stron nadbiegają mężczyzni a jeszcze zawziętsze kobiety i naraz ujrzałem się w gnieździe ós czy złych duchów. Czarownice babska krzyczały jak chmara wściekłych kotów, a chłopy gałgany waliły i szturchały mnie, a ponieważ na nieszczęście nie daliście mi na drogę życia pancerza, jak go ma krokodyl, więc byliby mnie tam niewątpliwie uśmiercili, gdyby mi ktoś nie był przyszedł z pomocą.

— Któż to był? — zapytał Herakliusz.

— Otóż słuchajcie ojcze, była to sama Walerya, która w kilku słowach zamieniła zajadłych tygrysów w pokorne baranki, tak że mnie puścili. Zawstydzony aż po uszy, powlókłem się dalej. Była to zemsta chrześcianki, i na Jowisza, jeśli wszyscy chrześcianie są takimi, jak owa dziewica, to poczynam pojmować, dla czego wyście…

Sabinus nie był jeszcze tak dalece znarowionym, aby wypowiedzieć bezczelną swoję myśl, atoli złośliwy uśmiech i szyderstwo uzupełniło resztę słów jego.

Herakliusz spojrzał na syna groźnie, przygryzł wargi i zamilkł. Pierwszy to raz napomknął Sabinus o odstępstwie ojca od chrześciaństwa. Czyż można było w sposób bardziej obrażający zrobić mu ten dotkliwy zarzut? Herakliusz był bezbronnym w obec tej jadowitej strzały, którą przeszył go własny syn jego — i do słów pełnych powagi i godności ze strony biskupa, przyłączyło się urągowisko zepsutego syna.

Z trudem niemałym oderwał myśl od tych okropnych wyobrażeń i począł przemyśliwać nad tem, jakby wytropić Waleryą w dzielnicy z tamtej strony Tybru.

Jego obawy co do Rufina zostały jednak usunięte, gdy później przyprowadzono doń mężczyznę, który mu powiedział, że Waleryę zna doskonale, ponieważ mieszka w tym samym domu co ona. W drodze do bramy apijskiej prosiła go Walerya, aby doniósł Irenie, że ona idzie przygotować grób dla swego ojca. — A więc Rufinus zapewne umarł. Chociaż więc nie ze wszystkiem mógł później nadeszłe wiadomości pogodzić z tą, to jednak oświadczenie Waleryi, że idzie dla ojca przygotować grób, wykluczało wszelką wątpliwość co do śmierci dawnego prefekta miasta. W ten sposób spadł mu z serca wielki ciężar i troska.

Po południu przeprowadzono chrześcian skazanych na zabicie przy jutrzejszej ofierze z ludzi do cyrku Maksencyusza. Było ich pięćdziesięciu; daleko większą ich część przeznaczono zaś do zapasów z dzikiemi zwierzętami, które odbyć się miały w jednym z późniejszych dni cesarskich uroczystości.

Walerya koniecznie chciała widzieć się z Ireną przed jej śmiercią. Chciała ona pożegnać się z świętą matroną, podziękować jej serdecznie za macierzyńską opiekę, którą zawsze ją otaczała, a wreszcie oznajmić jej pocieszającą wiadomość, że ojciec jej jest na wolności. A czyż Irena także nie miała poleceń dla swej córki? Ach, jakże ciężko i boleśnie być jej musiało umierać, nie widząc swego tak gorąco umiłowanego syna, który znajdował się tak blisko, a do którego ona jednak napróżno wyciągała ręce! Dziewica mogła jej przynieść pociechę, nanieść mu ostatnie jej pozdrowienie i macierzyńskie błogosławieństwo. Teraz już przynajmniej nie potrzebowała obawiać się o swego ojca.

Rufinus obudził się następnego rana dziwnie pokrzepiony. Z jakiemże zdziwieniem rozglądał się on w chacie Mincyusza i powoli dopiero przypominał sobie o zajściach z przeszłej nocy. Jakże on był szczęśliwym z posiadania córki, a ona jak szczęśliwa, że wybawiła ojca swego. Biskup Milcyades powiadomiony jeszcze przed wschodem słońca przez Mincyusza o uwolnieniu prefekta miasta, wysłał natychmiast do niego dyakona wraz z wszystkimi przyborami do opieki chorego. Przybyły z dyakonem lekarz, mógł spostrzedz jedno z tych ciekawych zdarzeń, jak to nagłe rozradowanie duszy w jednej chwili potrafi chorobę a nawet i pozostałą słabość usunąć. Tak więc mogła Walerya ojca po południu powierzyć opiece Mincyusza bez troski, aby udać się z Rustyką do cyrku. Właśnie obie wyszły z mieszkania, gdy spotkał je Sabinus, syn Herakliusza, o czem już poprzednio mówiliśmy.

Według obyczajów rzymskich, mieli skazani na śmierć w przeddzień swego stracenia wolność widzenia się z swoimi krewnymi a nadto otrzymywali obfitą ucztę zwaną wieczerzą wolnych (coena libera), której lud mógł się przypatrywać. Chrześciańscy męczennicy przemieniali tę wieczerzę w tak zwaną ucztę miłości (agapę), która przypominała im bliskość godów niebieskich, na które mieli iść ozdobieni wieńcem męczeństwa.

Ponieważ w cyrku wykonywano jeszcze różne roboty i naprawy, więc zamknięto więźniów tymczasowo w jednym z bocznych gmachów; siedzieli oni tam w długim szeregu na ziemi, aby spożyć ostatnią wieczerzę, składającą się z chleba, wina, sera i owoców. Znaczna liczba ciekawych, zwłaszcza wieśniaków z okolicznych wsi cisnęła się do bramy przypatrując się im z niemą ciekawością; naokół stali zaś na straży żołnierze z dobytymi pałaszami.

Siedzieli tam owi wyznawcy Chrystusowi z swobodnym spokojem rozlanym na obliczu spożywając podane potrawy wśród rozmów pobożnych i budujących; poganie zaś stali, nie pojmując, jak ci ludzie w obliczu śmierci mogą być tak obojętnymi, owszem nawet wesołymi.

Ku końcowi uczty wszczął się między wyznawcami pewien niepokój; raz po raz zwracali oni oczy w stronę bramy; skazani widocznie kogoś jeszcze oczekiwali, a ponieważ ten się nie ukazywał, więc troska wstępowała w ich serca, osiadając im na czole.

Wreszcie ukazał się ten gorąco oczekiwany, a oni z uśmiechem zadowolenia mówili jeden do drugiego: — Już przyszedł; tak, to on! — Wszystkich oczy rozjaśnione radością zwróciły się na dyakona Sylwestra; który w towarzystwie dwóch chłopców ukazał się u wchodu, przebiwszy się przez tłum ciekawych widzów.

Pod płaszczem niósł on na piersiach ciało Pańskie, niebieski wijatyk, pokarm boski na drogę do wieczności, którego gorąco pragnęli chrześcianie jako środka do pokrzepienia i wytrwania w ciężkich męczarniach za wiarę Chrystusa.



POKUSA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 496).

Nadzórca więzienny rano już przekupiony, pozwolił dyakonowi wejść do miejsca w którem znajdowali się chrześcianie, a oni przyjęli go z oznakami najgłębszej czci i uszanowania.

Obaj chłopcy uklęknęli przed dyakonem trzymając w rękach owiniętych chustkami płóciennemi srebrną miskę. Dyakon zaś wyjął z bogato złotem tkanego okrycia święty chleb i przełamał go nad miską na tyle części, ilu było więźniów.

Wyznawcy uścisnęli się nawzajem, dając sobie pocałunek pokoju, a potem zbliżali się kolejno, klękali i podnosili ręce złożone na krzyż prawa nad lewą.

— Wijatyk pański — mówił dyakon.

— Amen — odpowiadał każdy, przyjmował w otwartą rękę komunię św. spożywając tajemnicę boską i schylając głowę z czcią najgłębszą.

Po przyjęciu udawał się każdy znowu na swoje miejsce, modląc się w cichości do Pana Boga, polecając się temu, który za nas wszystkich wydał się na śmierć, prosząc najgoręcej o tę jednę łaskę, aby dał im wytrwać w miłości i wierności aż do ostatniego tchnienia.

Po uczcie, która w tak uroczysty sposób zakończyła się przyjęciem komunii świętej, pozwolono uwięzionym pomówić kilka minut z swymi krewnymi i pożegnać się z nimi. Wtedy weszli niektórzy z widzów do miejsca zamkniętego.

Irena przyjęła Waleryę i jej towarzyszkę z owym cichym i błogim spokojem ducha, który jest odbiciem pokoju niebiańskiego, gdy tymczasem dziewica zdjęta głęboką boleścią, oparła łkając głowę o pierś matki. Walerya musiała jej opowiedzieć wszystkie szczegóły ucieczki ojca: a gdy skończyła, rzekła Irena:

— Niebo nie chciało zostawić cię sierotą; odbierając ci przyjaciółkę, oddaje ci z powrotem ojca.

Chciała jeszcze coś mówić; atoli myśl o Kandydusie, któremu nikt i nic nie zdoła zastąpić matki, zaparła jej głos.

Spojrzała potem z gorącem westchnieniem w górę, a to przywróciło jej znowu spokój ducha i zdanie się na wolę Boga.

— Weź tę skrzyneczkę — rzekła Irena, dobywając z zanadrza złote pudełko — i oddaj ją synowi mojemu. Zawiera ona gąbkę nasiąkniętą krwią jego ojca; jest to jedyny spadek, który mu wraz z mojem macierzyńskiem błogosławieństwem zostawiam w dziedzictwie. Powiedz mu, że ostatnie moje westchnienie było modlitwą za niego; powiedz mu, że z nieba czuwać będę nad nim bez ustanku, i że w chwilach niebezpieczeństwa stać będę u jego boku. Nie, miłość macierzyńska nie zamiera; ona w niebie się oczyszcza i nabiera blasku, a po krótkiej rozłące następuje zjednoczenie wieczne. Będę także czuwała nad tobą i ojcem twoim, i modlić się będę za was, moje dziecię; czyniłam to już tej nocy, czynić to będę także w chwili śmierci, a potem po wieczne czasy u tronu Bożego. Między dniem wczorajszym a dzisiajszym było widzenie się nasze bolesnem, ale czyż przeciąg czasu od dnia dzisiajszego aż do błogosławionego zobaczenia się tam w górze nie jest także tylko chwilą jakoby od dzisiaj do jutra?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY WIŚNIE.

LEGENDA.

Onego czasu, gdy z uczniami swymi
Zbawiciel świata obcował na ziemi,
Idąc raz z nimi i tocząc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę. [sobie
Rzekł więc jednemu: »podnieś!« — lecz ten
Pomyślał: »co ja z tem żelaztwem zrobię?«
»Nie warto trudu!« — i do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał, że nie słyszy.
Mistrz się uśmiechnął; — bo właśnie w tę porę
Wykładał świętą, prawdziwą pokorę;
Lecz nie rzekł słowa: — i gdy ci mijali,
Sam się nachylił, podniósł — i szli dalej.

Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do niej,
I ukazując podkowę na dłoni,
Rzekł do kowala: »Daj wiele chcesz za to!«
Dał grosz. Szli dalej. A było to lato
I skwar. Spotkali niewiastę: szła z koszem
Wiśni do miasta. Mistrz zaszedł jej z groszem:
»Wiele za niego?« Dała trzy jagody. —
Szli dalej. — Kraj był piaszczysty, bez wody;
Skwar wzrastał. Wtem mistrz, niby nieumyślnie,
Przed owym uczniem rzucił jednę wiśnię.
Ten zgiął się po nią, podniósł, zjadł; szli dalej...
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali.
Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku, rzucił wiśnię drugą;
Uczeń znów zgiął się, podniósł i pomału
Ssał w ustach, tłumiąc zasuchę upału,
Szli dalej. Aż Mistrz znów jak przez przygodę
Otrząsł z łodyżki ostatnią jagodę;
Potoczyła się i zagrzebła w piasku.
Uczeń poskoczył, ale że po blasku
Dojrzeć jej nie mógł, jął macać rękoma,
I niecierpliwy, czuł jak go oskoma
Bierze. Lecz znalazł, otarł, i z pośpiechem
Już miał do ust swych włożyć, gdy z uśmie- [chem
Mistrz się obrócił ku niemu i rzecze:
»Nieprawdaż? smaczne wiśnie, gdy skwar piecze;
Lecz wspominając com rzekł o pokorze,
To sobie także będziesz przypominał:
Że po podkowę raz zgiąwszy się w porze,
Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się zginał.«

A. E. Odyniec.

BALONEM DO BIEGUNA.

Dzisiaj w całym cywilizowanym świecie zwracają się myśli ku dalekiej północy, gdzie w polarnej strefie unosi się gdzieś w powietrzu — chciejmy wierzyć szczęśliwie — Szwed Andreé i jego dwaj towarzysze w swym balonie »Orzeł,« aby dotrzeć do bieguna północnego. Od setek można powiedzieć lat usiłuje ludzkość dowiedzieć się, jak na biegunie północnym wygląda. Nie udało się to dotąd, jakkolwiek zeszłego roku Norwegczyk Nansen dotarł już prawie do 83 stopnia, a wiec tylko 100 mil dzieliło go od celu. To też cały świat jest zaciekawiony podrożą Andrego zastanawiając się nad tem, czy mu się uda balonem dojechać do bieguna.

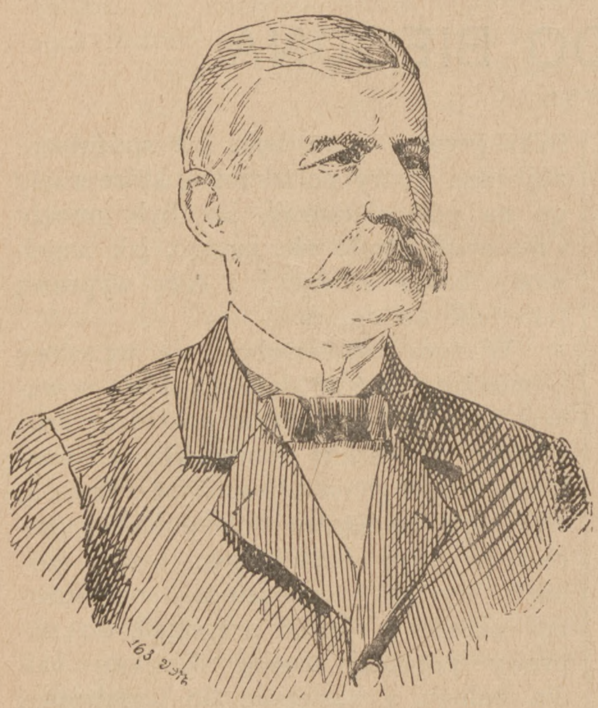
Andreé, Szwed z urodzenia zapalony żeglarz napowietrzny, przygotował wyprawę swą z namysłem i ostrożnością. Oparłszy swą rachubę na prądach powietrznych, które przechodzić mają okolice podbiegunowe, już w roku zeszłym chciał myśl swą w czyn wprowadzić. Wybrał się jednak wówczas zapóźno; gdy bowiem dopiero w drugiej połowie Czerwca wyjechał ze Sztokholmu, droga do wysp Szpicbergen, transport balonu i wszystkich urządzeń, które były potrzebne do napełnienia balonu gazem, ustawienie szopy ochronnej do balonu, umocowanie go i napełnienie zabrały tyle czasu, iż gdy wszystko do wyprawy było gotowe, pora była już spóźniona: najlepsze wiatry południowe, które miały go na północ unosić, już były minęły i nie pozostawało nic innego, jak napełniony balon zwinąć i z całą wyprawą powrócić do domu.

W tym roku wybrał się wcześniej o miesiąc. Już w dniu 18 Maja wyruszył ze Sztokholm. Na pokładzie królewskiej szwedzkiej kanonierki »Svenskund« przybył na t. zw. wyspę duńską, wysuniętą najbardziej na północny zachód z grupy Szpicbergen, i tam (zobacz rycinę) w zatoce, ochrzczonej mianem »Virgo,« przystąpił do naprawy popsutej trochę wiatrami hali dla balonu a następnie do napełnienia balonu. Jedyny na całej wysepce dom z drzewa, własność Anglika Pika, który zbudował go tu jako chatkę myśliwską, obecnie jednak z powodu słabości nie mogąc go używać, oddał na użytek Andréemu, — służył temu ostatniemu za skład potrzebnych przyrządów i na pomieszczenie aparatów do wytworzenia gazu; mieszkano w kajutach okrętu. Napełnianie balonu trwało godzin 89: rozpoczęte 19-go Czerwca, skończone było w dniu 22-go t. m. W dniu 27-go Czerwca olbrzymi balon był zupełnie gotów do lotu.

Przedstawiał on widok wspaniały. Zbudowana z desek ośmiokątna hala,

w której balon był umieszczony, liczyła 24 metrów średnicy. Południowa jej część zbudowana trwale wznosiła się na 20 metrów; północna, urządzona w ten sposób, że w krótkim stosunkowo czasie mogła być rozrzuconą, liczyła 17 i pół metrów wysokości. Po nad to wszystko widoczna była z poza drewnianej obsłony górna część falującego lekko na linach balonu, w kształcie kopuły stercząca po nad dużą budową.

Balon, którym Andrée ruszył w daleką i może niepowrotną drogę, liczy 21—22 metrów, jest sporządzony z naj-



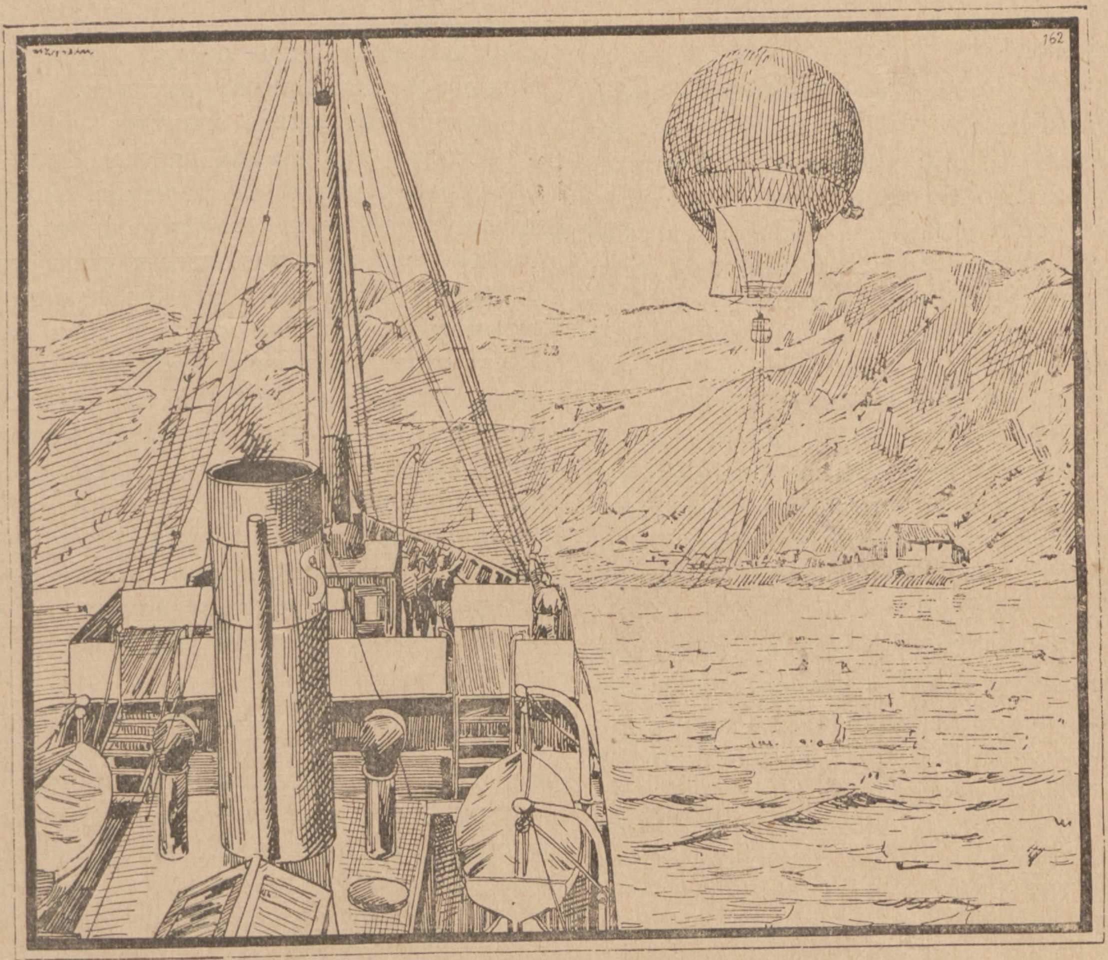
ANDRÉE.

lepszego żółtego jedwabiu chińskiego, potrójnie złożonego i wyszedł z pracowni firmy Lachambre w Paryżu. W r. obecnym, przez dodanie w pośrodku dodatkowego pasa, powiększono objętość jego z 4,700 na 5000 metrów kubicznych. Gdy Andrée przybył w dniu 30 Maja do portu Virgo, sam transport balonu przez zamarzniętą jeszcze zatokę zajął cały dzień. Wreszcie umieszczono balon w jego »domu,« i odtąd, pod osobistym kierownictwem Anréego z zapałem pracowano całymi dniami nad przygotowaniem balonu do wzlotu i nad napełnieniem go. — Ażeby przy pracy tej balonu nie uszkodzodzono z zewnątrz, co w czasie wyprawy mogło było strasznie się zemścić, rozpostarto wewnątrz hali, w pewnych odstępach aż do jej szczytu, potężne pasy filcowe, wyłożono matami filcowemi ziemię, a ludzie, zajęci pracą około przygotowania powierzchni balonu, na nogach i kolanach mieli filcowe okrycia. — Balon, po nad swym szczytym, dla ochrony przed wpływami powietrza, przed opadami it.p., rozpiętą ma, opartą na lekkiem rusztowaniu drewnianem, osłonę z płótna żaglowego.

Wentyl bezpieczeństwa, znajduje się mniej więcej w połowie wysokości balonu, a urządzony jest tak, że z łodzi można nim wygodnie kierować. Łódź balonu, wraz z całym ciężarem swym, tj. z zapasami żywności na kilka tygodni, z przyrządami itd. ważyła 450 kilogramów, a ciężar jej wraz z trzema podróżnikami wynosi 830 kilogramów. Zbudowana jest praktycznie, w kształcie domku o płaskim, okolonym poręczą dachu. Główna jej budowa składa się z kosza, umieszczonego w pierścieniu z drzewa. Wewnątrz, dzięki zręcznemu wyzyskaniu miejsca, jest dosyć miejsca i na instrumenta, i na małą bibliotekę, złożoną głównie ze słownika języków północno-azyatyckich i grenlandzkich, i na łóżka dla dwóch podróżnych, — jeden bowiem (t. j. trzeci) musi trzymać zawsze straż. Zapasy żywności, złożone w worach, zawieszone są na linach, pomiędzy sznurami łodzi; w ten sposób spełniają one równocześnie zadanie balastu i nie tamują swobody ruchów wewnątrz łodzi. Nisko pod łodzią umieszczono przyrząd do gotowania; uczyniono to dlatego, aby unikać niebezpiepieczeństwa pożaru. Za pomocą odpowiedniego urządzenia i zwierciadeł, z łodzi widać doskonale, co w kuchence się dzieje, można z góry nastawiać naczynia z potrawami, ugotowane potrawy wydobywać i t. d. Balon zaopatrzony jest także w metalowe pływaki, z chorągwią na górze; mają one służyć do tego, aby Andrée mógł za ich pomocą dać o sobie wiadomość. Listy bowiem do

tych pływaków włożone nie mogą zamoknąć, a zapewne przynajmniej jeden z nich dostanie się kiedyś w ręce ludzkie. Prócz tego zabrał Andrée ze sobą 30 gołębi pocztowych.

Balon zaopatrzony jest także po obu stronach w żagle, którymi można z łodzi wygodnie kierować za pomocą odpowiednio urządzonych sznurów. Prócz tego Andrée zaopatrzył balon swój w trzy holownicze liny, do których wielką przywiązywał wagę. Posiadają one rozmaitą długość, — aż do 400 metrów, i spuszczone na dół miały snuć czyli ciągnąć się po ziemi, wodzie lub bryłach lodu. Wywoływałoby to tarcie, a w ten sposób osłabiało szybkość lotu balonu i ustalałoby ją. Nasycone silnie waseliną, posiadały liny u dołu miejsca słabsze, aby w razie, gdyby ugrzęzły



Port Virgo, przednia część okrętu Svenkssund, balon Andrego.

w lodzie lub wśród skał, mogły łatwiej urwać się i nie powstrzymywały balonu. Według obliczenia Andréego, balon jego miał unosić się przeciętnie na 200 metrów po nad powierzchnią morza: jeżeliby się wzniósł za wysoko, liny owe pomnażałyby ciężar balonu i powstrzymywałyby dalsze jego podnoszenie się; w przeciwnym razie, ciągnąc się po ziemi, umniejszałyby ciężar balonu i utrzymywały go na pewnej wysokości. W ten sposób Andrée zamyślał bez utraty gazu normować bieg swego »Orła«, w razie potrzeby zatrzymywać się lub dalej lecieć.

Niestety jednak, gdy balon już uleciał w przestworza powietrzne, spostrzeżono, że owe trzy liny holownicze, do których Andrée tyle przywiązywał nadziei, — pozostały na wybrzeżu! Czy urwały się, czy też w chwili wzniesienia się balonu odczepił się hak je przytrzy-

mujący, dość, że dla Andréego zostały zupełnie stracone. A w obec wagi, którą Andrée do nich przywiązywał, strata to nie mała; pociecha zaś, iż Andrée ma w łodzi spory zapas lin i że może niemi zastąpić pozostawione na wybrzeżu, zdaje się być nie wielka.

Wzlot odbył się w dniu 11 Lipca w Niedzielę, o godzinie 3 po południu. W dniu tym panowała silna burza, tak że nie spodziewano się, aby Andrée mógł się odważyć na wzlot wśród takich warunków.

Załoga parowca szwedzkiego »Svensksund« pomimo tego zabrała się do rozbierania szopy drewnianej, zawierającej balon. Po czterogodzinnej pracy wszystko było gotowe. Uścisnąwszy obecnym dłonie, Andrée i dwaj jego towarzysze Strindberg i Fränkel, weszli do łodzi balonowej. Andrée dał sygnał: raz, dwa, trzy! Gdy wymówił ostatnie słowo przecięto resztę lin i balon zwolna wypłynął z zagrody. Andrée wesoło i z otuchą spoglądał na pozostających. Potem on i jego towarzysze wstrząsnęli czapkami trzymanemi w rękach i z łodzi dały się słyszeć słowa: — Pozdrowienia Szwecyi!

Ledwie balon uniósł się nieco, gdy porwał go wiatr i posunął na wysoko sterczące skały Smeerenburgsundu, grożąc rozbiciem łodzi. Po chwili jednak porwał go nagły prąd wiatru południowo-wschodniego, odrzucił ku północno-zachodowi na morze, przyczem uderzył weń tak z góry, że łódź balonowa na parę sekund pogrążyła się w fale.

Żeglarze, wyrzuciwszy parę worków balastu (piasku) zmusili balon do podniesienia się w górę, poczem statek powietrzny poszybował, jak tego życzył sobie Andrée, po nad półwyspem Holländernaes ku północy.

Punkt o godzinie trzeciej zniknął balon z oczu na skraju północnego widnokręgu.

Obecni przy odlocie wrócili na pokład »Svensksundu« i wznieśli szampanem toast za powodzenie śmiałej wyprawy.

Dodać wypada, że towarzysze Andréego są to ludzie poważni, spokojni. Jeden z nich blizki Andréego przyjaciel, Nils Srindberg, oddawna już zrósł się z myślą zuchwałej wyprawy Andréego; pozostawił on w Szwecyi swą narzeczoną, do której przy odjeździe wypuścił gołębia pocztowego z pozdrowieniem. Drugi, inżynier Knut Fränkel w tym roku dopiero się zgłosił na uczestnika wyprawy. Podobnie jak Andrée i Strindberg posiada on obok wielkiej siły, potrzebny zapas energii i spokoju, a przygotowani byli na wszystko.

Jaki wynik będzie wyprawy?

Uczeni odpowiadają na to: Nawet na wypadek gdyby się powiodła, skutki jej nie mogłyby być nadzwyczaj ważne, bo podróżnikom nie starczy czasu na badania i obliczenia. Sztokholmski meteorolog dr. Ekholm, który w roku zeszłym miał towarzyszyć Andréemu, ubolewa szczególniej nad tem, że Andrée pozostawił liny. Bez lin balon będzie szedł nieregularnie, skutkiem czego tracić musi nierównie więcej gazu, niż trzymając się zawsze na jednakowej wysokości. Przy sprzyjającym wietrze balon powinien odbyć drogę swą w ciągu jakich 12—13 dni; ale czy wiatr dopisze!

Profesor Betzold z Berlina, określa wyprawę jako niemającą dla nauki prawie żadnego znaczenia. Prosta droga ze Spitzbergu przez okolice biegunowe wynosi 3,400 kilometrów, ale ponieważ wiatry biegun okrążają, balon będzie musiał przebyć drogę, być może jakich 12,000 do 20,000 kilometrów, co potrwa kilka tygodni, a na taki przeciąg czasu gazu w balonie nie starczy. Wreszcie prof. Betzold twierdzi, że Andrée może przeszybować po nad biegunem sam nie wiedząc o tem, gdyż z łódki balonowej położenia swego oznaczyć nie zdoła. Dyrektor berlińskiego zakładu meteorologicznego profesor Berson wypowiada takie same zupełnie zdanie, a profesor Niemeyer z Hamburga uważa wyprawę za przedsięwzięcie szalone i twierdzi, że niepodobna nawet w przybliżeniu określić, gdzie balon spadnie

i w ogóle, jak się podróż skończy i jaki pożytek nauce przyniesie. Najbardziej zaciekawia uczonego sposób, w jaki Andrée zamierza dokonywać z łódki balonu badań meteorologicznych i obliczeń dla określenia położenia geograficznego.

Obecnie już 18 dni od chwili, gdy »Orzeł« wyruszył w daleką i niepewną drogę a nie ma żadnej o nim wiadomości. Na podstawie kierunku wiatrów, panujących obecnie w okolicach podbiegunowych, sądzą marynarze, że popędził on w kierunku przeciwnym, niż Andrée myślał, bo ku Wschodniej Syberyi. Tam i w okolicy Grenlandyi krążą statki angielskie i rosyjskie, aby w danym razie pospieszyć z pomocą podróżnikom. Na lądzie Franciszka Józefa bawi jeszcze wyprawa Jacksona, z którą spotkał się w r. z. Nansen. Ludność okolic podbiegunowych jest już oddawna przygotowana na możliwość zjawienia się balonu.

Bądź co bądź, jeżeli powiedzie się Andréemu przelecieć biegun północny, będzie to nowy tryumf ducha ludzkiego, który pokonywa jedną po drugiej przeszkody, jakie ograniczają jego panowanie nad ziemią, a wszak bieguny północny i południowy były dotychczas niepokonanemi zaporami w zwycięskim pochodzie człowieka po kuli ziemskiej.

KOMETY.

Niewątpliwie kometa jest niezwykłem i osobliwem zjawiskiem, zwłaszcza gdy niespodzianie wypłynie na obszar niebieskiego sklepienia. Bez troski o powagę gwiazd stałych i niewzruszone ich prawa, bez trwogi przed ruchliwą, a nieprzeliczoną, rzeszą planet krążących jak stada złotych much i komarów w przestrzeni wszechświata, żegluje on śmiało dumny i milczący po bezdennych obszarach, przerażając swoim widokiem prostaczków, a dziwiąc i upokarzając uczonych. Mimo, że tyle już spraw i cudów natury uległo pod nieprzepartą siłą ludzkiego rozumowania, on dotąd nie chce uledz i zdradzić tajemnicy swojego bytu i to zarówno, czy się nam okazuje czterykroć większym od jutrzenki, jak ów z 1680 roku, czy jak ów z połowy II wieku przed Chrystusem, który był większym na pozór niż słońce, czy wreszcie o tak długiej kicie, że niemal trzecią część łuku niebieskiego zajmował, jak ów, który się w roku 1769 pojawił. Na widok tej dziwnej gwiazdy tak w prostaczku jak i w uczonym jedna i tasama powstaje myśl o niezbadanej mądrości Stwórcy wszechświata i zupełnie równe, przytłumiające uczucie pokory.

Nie wszystkie atoli komety są jednakie, często jeden i ten sam nawet zmienia swą postać w naszych niemal oczach: raz świeci jasno, drugi raz blednie, raz się powiększa, to znowu maleje, raz jest kulistym, gdy zwolna wydłuża swą postać lub w bryłę niekształtną się zamienia; wreszcie zbliża się i oddala. Kometa widziany w r. 1770 był trzynaście razy większym od księżyca, chociaż z powodu oddalenia swego od ziemi wcale się nie wydawał tak wielkim. Kometa z r. 1680 był 160 razy bliżej słońca niż nasza ziemia, inne natomiast bywają tak oddalone lub tak małe, że je zaledwie w teleskop uzbrojonem okiem dostrzegać i badać mogą uczeni. Komety w tem są podobne do planet, że mimo swej dumy i niesforności przecież i one krążą około słońca; różnią się jednak od nich stanowczo. Przedewszystkiem zjawiają się one o wiele rzadziej niż planety, które stale codzień wschodzą i zachodzą, zostając w stałej odległości od słońca. Kometa zaś to istny nocny włóczęga, który się nie trwoży wcale wycieczek w obce i nieznane przestrzenie, a kiedy raz zatoczy łukiem około słońca, aby się nieco ogrzać i przebyć zapewne swe lato, od-

biega długą a bardzo długą koleją gdzieś ku swojej zimie, o której, gdzie się odbywa, Bóg chyba tylko sam ma wiadomość. Jeśli po latach wielu, po wieku, a nawet po wiekach kilku swojej włóczęgi zamarzy mu się na nowo wygrzać przy ciepłem naszem słoneczku, zawraca w biegu i podobnież długą koleją drogi i czasu zbliża się ku nam i zjawia zawsze jednako dumny i tajemniczy. Powtóre, komety nie są tak zbitą i stałą masą, jak nasza ziemia, lub inne bratnie jej planety. Jedne z nich zdają się być tylko kłębem pary i gazów, gdyż gwiazdy po za nimi świecące z łatwością dostrzegać można. Inne są wprawdzie nieco gęściejsze, mają jednak ten pozór, jakoby nie wszystkie ich składowe części ściśle się ze sobą trzymały i skupiały w jednolitą całość.

Uczeni mniemają, że taki kometa w długiej swojej pielgrzymce tężeje i przejmuje zwolna naturę planet, jeśli w awanturniczej swojej wycieczce nie wydarzyła mu się jaka niefortunna przygoda. Po trzecie, kometę zdobi zazwyczaj świetlany ogon, chociaż nie każdy poszczycić się może taką ozdobą. Niektóre naprzykład otacza wokoło tylko blask promienny, pierzchający na wszystkie strony, jakby włosy płonące. Ogon komety, czy kita zawsze ma pozór ciała lotnego, gdyż gwiazdy, przed któremi się przesuwa, są dla nas widoczne; zawsze też ma kształt łuku, i to w kierunku odsłonecznym, to jest, w stronę przeciwną słońcu zwróconym. Przytem ulega zmianie, to rośnie, to maleje, to świeci jaśniej, to blednie.

Wreszcie, co może zadziwi czytelnika, kometa wróży nieszczęście. Tak jest; zupełnie tak samo, jak ów dowcipny chłopak, który bawiąc się we wieszczka, przepowiada zagapionemu ludkowi niezbitą prawdę, że w krótkim czasie ktoś we wsi umrze. Nieszczęść i klęsk na świecie jest tak wiele, że zawsze starczy na tyle, aby je i komecie przypisać. On tymczasem zjawia się o przeznaczonej przez Opatrzność godzinie, i tyle się o nas troszczy, ile mu obojetne są i te miryady gwiazd, pośród których szybuje szalonym pędem, zawsze jednako dumny i tajemniczy.

BEZKRÓLEWIE.

Bezkrólewie, po łacinie Interregnum, czas pomiędzy panowaniem jednego króla a wstąpieniem na tron następnego. Zastępujący w tym czasie miejsce króla prymas, arcybiskup Gnieźnieński zwał się po polsku bezkról, po łacinie Interrex. W Polsce forma rządu od najdawniejszych czasów była zupełnie odmienną od rządów w innych państwach, więc też i bezkrólowie miało u nas zupełnie inne znaczenie niż gdzieindziej. Bezkrólewie nastąpić mogło w trzech przypadkach t. j. albo po śmierci króla, albo po złożeniu go przez naród, jak się stało z Henrykiem Walezyuszem, gdy odjechał do Francyi, albo po dobrowolnem złożeniu korony, jak zrobił Jan Kazimierz.

Pierwsze bezkrólewie, które w dziejach naszych spotykamy, było po śmierci Mieczysława Gnuśnego. Ryksa chciała rządzić w imieniu małoletniego syna, na sposób niemiecki, ale musiała ustąpić. Po śmierci Przemysława (zabitego w Rogoźnie roku 1296). Wielkopolska czyli właściwi Polanie dla zachowania jedności, obierają królem księcia Krakowskiego Wacława, który był także królem czeskim. Po nim obierają królem Władysława Łokietka. Król był właściwie królem w starożytnej Wielkiej Polsce, poza nią był księciem krakowskim, sandomierskim, pomorskim i t. d. a osoba jego była tym węzłem unii i zjednoczenia, do którego parła naród konieczność historyczna i najżywotniej-

sze jego potrzeby oraz wspólność języka i obyczaju.

Łokietek za życia swego jeszcze zapewnił następstwo tronu synowi swemu Kazimierzowi. Kazimierz Wielki, że nie miał potomka, także za wiedzą narodu zapewnił następstwo po sobie siostrzeńcowi swemu Ludwikowi węgierskiemu. Naród zapewnił Ludwikowi oddanie tronu jednej z jego córek, nie wymieniając osoby. Że jednak stanowczo nie działano, więc po śmierci Ludwika w roku 1382 nastąpiło pierwsze burzliwe bezkrólewie. Liczne nastąpiły zjazdy i elekcye, po Maryi obrana królową Jadwiga, a kiedy zjechała do Krakowa, pojawiła się moc kandydatów do korony. Naród obrał Litwina Jagiełłę na króla dożywotnego i męża dla Jadwigi. Żony Władysławowi Jagielle umierały i dopiero z ostatniej doczekawszy się naprzód córki, potem synów, starał się zapewnić tron dla tej córki, a potem już dla synów. W tym celu jednał sobie szlachtę na sejmach i od miast brał na piśmie zaręczenia, że głosować będą za którym z królewiczów. Po śmierci Jagiełły w r. 1434 utrzymał się małoletni Władysław i wtedy złożono radę rejencyjną, wypadek jedyny w dziejach polskich.

Gdy Warneńczyk zginął pod Warną, nastąpiło pierwsze tak długie bo kilkoletnie bezkrólowie, elekcyi było kilka i wreszcie przyjął koronę Kazimierz Jagiellończyk. Kazimierz umierając usiłował zapobiedz bezkrólewiu testamentem, w którym naznaczył Aleksandra wielkim księciem Litewskim a Jana Olbrachta królem polskim. Bez względu na ten testament Korona i Litwa przystąpiły do elekcyi. W Litwie bezkrólewie daleko krócej trwało, zaledwie kilka tygodni, bo panowie zjechawszy się podnosili odrazu kandydata na wielkie księstwo. W Koronie potrzeba było sejmu elekcyjnego, więc bezkrólewie trwać musiało kilka miesięcy. Zygmunt Stary na lat 10 przed śmiercią pozwolił Litwie obrać syna swego Zygmunta Augusta wielkim księciem Litewskim, a Koronie tegoż królem polskim. Po śmierci więc Zygmunta Starego r. 1548 nie było wcale bezkrólewia. Ze śmiercią Zygmunta Augusta następuje wielki przełom w dziejach bezkrólewia. Bezkrólewie traci cechę chwilowości i przypadku a pozyskuje oddzielne prawa i ustawy, jakby jakiś stan normalny, zasadniczo przedzielający jedno panowanie od drugiego w życiu politycznem Rzeczypospolitej. Podług tego nowego porządku, podczas bezkrólewia zmienia się cały bieg spraw narodowych.

W roku 1572 Polska tak samo jak w r. 1382 po śmierci Ludwika Węgierskiego musi o sobie myśleć i króla wybierać, ale formy elekcyi nie przepisało jeszcze żadne prawo. Powstaje więc wielki niepokój i następuje mnóstwo zjazdów prowincyonalnych na przestrzeni szerokiej, bo już Litwa z obszernymi kawałami Rusi wsiąkła do jedności Rzeczypospolitej. Po półrocznych niepokojach następuje w Styczniu roku 1573 w Warszawie konwokacya wszystkich stanów, na której uchwalono tymczasowo czas i formę elekcyi. Po elekcyi w Maju roku 1573 bezkrólewie trwało jeszcze do koronacyi w Lutym r. 1574, zanim sprowadzono Henryka Walezyusza do Polski. Gdy zaś ten uciekł w Czerwcu do Francyi, od ucieczki tej aż do koronacyi Batorego upłynęło 23 miesiące, lubo właściwe bezkrólewie t. j. od czasu ogłoszenia tronu za wakujący po Henryku trwało tylko miesięcy 7 do 8.

Za Jagiellonów nie bywało wcale konwokacyi, ale prymas zasięgnąwszy rady panów, naznaczał wprost dzień elekcyi, na którą zjeżdżał się naród szlachecki. Teraz kiedy bezkrólewie zostało uregulowane prawami, następują trzy sejmy: pierwszy konwokacyjny, na którym stany Rzeczypospolitej oznaczają czas i formę elekcyi, drugi elekcyjny i trzeci koronacyjny. Na nieszczęście naród rządząc się więcej zwyczajami i dowolnością nie ułożył nigdy i nie napisał ścisłego i dokładnego prawa o elekcyi królów. Bezkrólewie po Stefanie Batorym trwało od Grudnia

1586 r. do Grudnia roku następnego a było burzliwe i krwawe. Po Zygmuncie III trwało miesięcy 9 od Maja r. 1632 do Lutego r. 1633. Po Władysławie IV miesięcy 8, od Maja 1648 r. do Stycznia 1649 roku. Jan Kazimierz abdykował we Wrześniu 1668 r. a dopiero w Czerwcu następnego r. obrany został królem Michał Korybut Wiśniowiecki. Po śmierci Wiśniowieckiego obrany królem Sobieski musiał iść tak śpiesznie na wojnę turecką, że nie było czasu na koronacyę. Dla uniknięcia mitręgi pozwolono Janowi III koronować się nie w Krakowie ale we Lwowie, lecz i na to czasu zabrakło. Koronacya więc odbyła się na Wawelu po powrocie z wojny. Był to jedyny w dziejach naszych wypadek, że bezkrólewie skończyło się na elekcyi, nie na koronacyi i że król od elekcyi miał już wszystkie prawa majestatu. Ze względu bowiem, że nieraz odbywało się po dwie elekcye, naród był ostrożny i zwykle dopiero koronacyę uważał za koniec bezkrólewia a koronata za króla. Jeden Sobieski przez półtora roku sprawował królestwo przed ukoronowaniem. Bezkrólewie po Sobieskim trwało 15 miesięcy, bo ogromna większość szlachty nie chciała Augusta II Sasa, popieranego głównie przez magnatów, i trzeba było aż sejmu pacyfikacyjnego, żeby stanął pokój w Rzeczypospolitej. Za drugiej wojny Szwedzkiej było i bezkrólewie i dwóch królów razem: Leszczyński i August II Sas. Tak samo podczas bezkrólewia po Auguście II, znowu Leszczyński i August III. Bezkrólewie to trwało od Lutego r. 1733 do koronacyi Augusta III w Styczniu r. 1734. Ostatnie bezkrólewie po Auguście III trwało 11 miesięcy do elekcyi Stan. Poniatowskiego a 14 do jego koronacyi. Zwykłe sądy, ponieważ odbywały się w Polsce w imieniu króla, zatem podczas bezkrólewia ustawały, a w ich miejsce funkcyonowały przez ten czas tak zwane sądy kapturowe których prawa przez wzgląd aby nie korzystano z braku władzy królewskiej, były surowsze. Dla utrzymania wewnątrz kraju porządku i wykonywania uchwał sejmowych, stany zawiązywały na czas bezkrólewia konfederacyą.

NA STRACONEJ CZACIE.

(Ciąg dalszy.)

— Nie gniewajcie się, ojcze! — zawołał Tribard, chwytając starego za rękę, którą wygrażał ochotnikom — Wszystko to z dobrego serca i przyjaźni dla mnie mówią. Nie mogę za życia, więc choć po śmierci pragną mnie uczcić.

— Tak, broń ich jeszcze! tych... tych mleczaków gołowąsych... Co oni wiedzą o wojnie? O prawdziwych żołnierzach, bohaterach? Ci tam trzej nieszczęście mieli i basta! Inaczej ani jeden nie byłby zginął! I teraz wam zapowiadam, że Tribard się nie da... choćby samemu Lucyperowi! Albożgo to nie znamy? Młody jest, prawda! ale strzela, jak król! Widział kto, żeby Tribard chybił?!

— Prawda jest, niema co mówić! — przyświadczyli żołnierze — Tribard dzielny żołnierz i nielada zuch; a strzela! jak sam...

— Cesarz! — wyrwał się jeden z ochotników, a drugi, którego wymyślania sierżanta gniewały, dodał:

— Więc pamiętaj Tribardzie: weź cały miech kul i strzelaj, a strzelaj, to z pewności wyjdziesz cały.

— A wpakuj kulę dyablej mości głęboko — wołali inni — żeby już więcej nie miał ochoty do nas wrócić.

On nas tu wszystkich po jednym popożera, jak go dziś nie zastrzelisz. Miej litość nad nami, kochany Tribardzie — żartowali drudzy.

— Ale nadewszystko pilnuj swojej głowy — zawołał podoficer, ujrzawszy nadchodzącego Bellegarde'a — aby ci jej czart nie urwał. Oj, pilnuj! Dyabeł będzie na ciebie okrutnie zawzięty za tego starego rycerza! Z Bellegarde'a byłby miał sporą pieczeń!

— Ale łykowatą!

— Co tam! Lucyper ma mocne zęby!

— Biada ci, Tribardku! Dyabeł ci nie daruje, żeś mu usunął z przed nosa tego starego bohatera!

I tak, przesadzając się w żartach i dowcipach, poczciwi żołnierzyska, pocieszali siebie i Tribarda, udaną wesołością, bo im młodzieńca ogromnie żal było; wszyscy pragnęli i sobie i jemu dodać ducha, natchnąć dobrą myślą. Skoro zaś wieczór nadszedł, niemal cała kompania wyszła ku parowowi, odprowadzić mężnego kolegę; a gdy już zniknął w zakrętach wąwozu, jęli ubolewać głośno nad jego smutnym losem i przedwczesną śmiercią.

Tymczasem dzielny Gaskończyk stanął na miejscu, na małem wzgórzu, u wejścia niezmiernej płaszczyzny. W pierwszej chwili, kiedy się ujrzał sam, daleko od obozu przeszedł go dreszcz po całem ciele; bo to i najodważniejszy człowiek zadrzy wobec nieznanego, tajemniczego, a więc strasznego, przerażającego niebezpieczeństwa.

Lecz Tribard był to młodzieniec nietylko mężny i nieustraszony, ale także szczerze religijny i, lubo życie upływało mu w obozie, nie zapominający o obowiązkach prawdziwego chrześcianina. Teraz więc, gdy zawisło nad nim niebezpieczeństwo, zwrócił serce do Boga, przeżegnał się nabożnie, westchnął gorąco i z ufnością do Najśw. Panny Maryi, jako swej szczególnej Patronki, której wizerunek, zawieszony ręką matki w chwili jej zgonu, nosił zawsze na piersiach, i wnet się uspokoił.

— Z pomocą Bożą — szepnął do siebie — pokonam każdego nieprzyjaciela, choćby to nawet miał być sam zły duch, jak stary Bellegarde utrzymuje.

I rzeczywiście: po pewnym czasie odzyskał Tribard całą moc duszy, zimną krew i przytomność umysłu.

Stanąwszy tak, że skałę miał za sobą, która go broniła od napaści z tyłu, oparł się o nią i jął z wielkim spokojem i bystrem okiem przyglądać się okolicy, oblanej bladem, drżącem światłem miesiąca, dającym jej jakiś tajemniczy urok.

Jak okiem zajrzeć rozciągała się niezmierzona równina, porosła wrzosami; spokój i pustynna cisza panowały do koła, niezdradzając niczem spodziewanego nieprzyjaciela; tylko polne koniki świerkały; a czasem zaszumiały skrzydła nocnego ptaka.

Tribard, wprawnem okiem myśliwca, przebiegał równinę, czasem wzrok zatrzymał na dalekich skałach, czerniących na krańcach widnokręgu, czasem znowu podnosił wzrok ku niebu, po którem mknęły lekkie, białe chmurki, przysłaniając raz po raz tarcz księżyca; równocześnie zaś, przezorny żołnierz, łowił bystrem uchem najlżejszy szelest. Pałasz opuścił na temblaku, zgrabny swój pirenejski karabinek ujął jak do strzału i stał nieporuszony.

Noc upływała spokojnie: łagodny wietrzyk przewiewał po stepie, kołysząc z lekka wrzosy i chłodząc czoło młodego żołnierza, pokryte kroplami potu, wskutek znużenia, wywołanego natężonem czuwaniem.

Minęły już dwie godziny, gdy naraz zauważył Tribard, że w dalekości wrzosy poruszają się w kierunku przeciwnym wiatrowi; a wkrótce dał się słyszeć odgłos, podobny rechtaniu świni; niebawem zaś ukazała się postać ciemna okrągła, raz się zatrzymująca, to znowu nieregularnym chodem, kręcąca się tu i owdzie, jak dzik szukający pożywienia.

Tribard wymierzył, lecz w tej samej chwili poznał doskonale, w zbliżającym się zwierzęciu, dzika, których pełno było wówczas w lasach Kanady; spuścił więc broń i szepnął z uśmiechem:

— To mi dopiero nieprzyjaciel! Ho! ho! miałbym się z pyszna, gdybym z powodu dzikiej świni zaalarmował obóz!

Oj, wyśmiewaliby cię koledzy, Tribardku!

Pomimo to nie spuszczał ani na chwilę oka ze zwierzęcia. Po kilkunastu minutach poznał też ze zdziwieniem, że dzik mimo pozornie nieregularnego chodu, i zwrotów raz w tę, to znowu w ową stronę, coraz więcej zbliża się wprost ku wzgórkowi, na którym stał.

— Tam do licha! — mruknął żołnierz — Co to znaczy? Ta bestya zaczyna mnie niepokoić... a potem, to ciągłe wytrzeszczanie wzroku w jedno miejsce, męczy dyabelnie... Eh, co tam! Mam pozwolenie fałszywego alarmu... wypalę! Co mi szkodzi?! Choćby mnie też chcieli wyśmiewać koledzy, że takiego niepoczesnego zabiłem nieprzyjaciela, zamknę im buzię wyborną pieczenią.

To sobie rzekłszy, wzniósł karabin do góry, wahał się jeszcze nieco, ale opanowany jakąś nieprzepartą chęcią dania ognia, nie mógł się od strzału powstrzymać; więc właśnie, kiedy dzik w swojem krążeniu, zwrócił się do Tribarda bokiem, młody żołnierz, ulegając niewytłómaczonemu uczuciu, wymierzył, wypalił, a wnet okoliczne skały rozniosły tysiączne echa po całej równinie, aż do samego obozu.

Przezorny chłopak, natychmiast po strzale nabił czemprędzej broń, aby go zaś teraz prawdziwy nieprzyjaciel z nienacka nie zaskoczył; a nabiwszy karabinek, stał znowu spokojnie i upatrywał pilnie spodziewanego, tajemniczego wroga.

Tymczasem na odgłos strzału, cały obóz się poruszył i zerwał na nogi; kilkunastu żołnierzy, z oficerem i Bellegarde'm na czele, pędziło wąwozem w skale ku równinie, większy zaś jeszcze oddział gotował się do pochodu, aby w razie potrzeby, ruszyć na pomoc.

(Dokończenie nastąpi).

* Objaśnienia rycin. *

Pokusa. Na obrazku (str. 485) widzimy dziewczę trzymające na ręce królika. Nieodstępny człowieka towarzysz — pies poszedł za dziewczynką do stajni, gdzie się jej ulubiony inwentarz znajduje. Stary wyżeł chętnie by się z królikiem bliżej zapoznał, bo uważa go za takie samo stworzenie jak zając. Jakkolwiek mu jednak ślinki idą nie wyrządzi mu żadnej krzywdy, bo jest zbyt karnym. Wynagrodzi to sobie swoją drogą później, gdy wyjdzie z myśliwym w pole. Wtenczas na hasło swego pana »pyf« nic go powstrzymać nie zdoła i biada zającowi, którego dogoni i w swe szczęki dostanie.

✿ ROZMAITOŚCI. ✿

* **Klucznik.** W miastach nazywano klucznikami odźwiernych miejskich czyli stróżów, którzy bramy miasta na noc zamykali i kluczów strzegli. Po dworach polskich nazywano klucznikami szafarzy, a klucznicami szafarki czyli ochmistrzynie domowe. Haur w swojej Ekonomice z czasów Jana Kazimierza powiada: »Klucznik ma klucze mieć w kilku węzłach, osobno od domów gościnnych, osobno od piwnicy.« Mickiewicz w »Panu Tadeuszu« przedstawił nam wspaniały typ ostatniego klucznika w Horeszkowie. W klasztorach klucznikiem czyli szafarzem był zwykle jeden z zakonników. Są ślady, że zachodni Słowianie w czasach pierwotnych mieli urzędników zwanych klucznikami, po łacinie: Claviger Clavicularius. Na Litwie w liczbie niższych urzędników ziemskich, w XVI wieku wzmiankowani są także i »klucznicy.« Nazwa powstać mogła nietylko od klucza, którym się zamek otwiera, ale i od klucza dóbr, i dotychczas jeszcze wójci gmin nazywają się na Litwie kluczwójtami.

✧ FRASZKI. ✧

* **W sądzie gminnym.** — Dla czego Jacenty ściąłeś tę sosnę w cudzym lesie?

— Gdzie zaś prześwietny sądzie, jabym się takiego grzechu dopuścił? Jeno jechałem bez las i zawadziłem osią, sośnisko było spruchniałe, przewaliło mi się na furę i tylo, a jużem nie zdejmował, bo nie mogłem sobie dać rady.

* **Powiedział, co wiedział.** — Wojciechu, źle ze mną, pojedziemy do Szczawnicy.

— Ej! pocóż się to tam tłuc po górach; czy to panu nie przyjemniej będzie wyciągnąć nogi w domu...

* **Praktyczny.** Ojciec: Czem chcesz zostać Józiu?

Józio: Kominiarzem kochany ojcze.

Ojciec: Kominiarzem? A to dla czego?

Józio: Bo nie będę potrzebował się myć.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-S. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 5-go Sierpnia 1897. **Nr. 31.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Cichy bohater.

(Epizod z wojny francuzko-pruskiej.)

Ksiądz Legrand po Mszy św. wrócił do zakrystyi. Blade promienie słońca listopadowego wpadały przez okno. W cieniu ukazała się kobieta w chustce, zawiązanej pod brodą, zatopiona we łzach, rzuciła się do nóg proboszcza, wołając:

— Oni go rozstrzelają!

— Rozstrzelają! Kto? kogo?

— Prusacy... mego męża...

Wybuch płaczu nie pozwolił mówić dalej nieszczęśliwej.

Ksiądz, wzruszony bardzo, wziąwszy za ręce biedną kobietę, odezwał się:

— Co? twego męża?

— Tak, z powodu ułanów, zabitych wczoraj przez wolnych strzelców... Dziś rano prusacy kazali ciągnąć losy. Rozstrzelają trzech: Vincent'a, Lardeur'a i mego męża. Ratuj go, księże proboszczu.

— Ależ ja tu nic nie pomogę — odrzekł ksiądz tonem zniechęcenia.

Łza jednak potoczyła się po jego twarzy i wsparłszy głowę na ręku, zamyślił się. Nie mógł przyjść w pomoc swoim owieczkom, lecz czyż opuści tę zapłakaną kobietę, proszącą go za mężem.

— Muszę go uratować koniecznie — pomyślał, głośno zaś rzekł: — odwagi, miej nadzieję.

Zdjąwszy pospiesznie szaty obrzędowe, skierował się w stronę magistratu, gdzie przebywał kapitan pruski, dowodzący oddziałem ułanów. Twarz księdza Legrand'a stawała się coraz bledszą, w miarę zbliżania się do celu. Wprowadzono go do sali posiedzeń rady miejskiej. Siedząc przy stole, kapitan podpisywał papiery. Spojrzał uważnie na kapłana i przewidując prośbę, której się obawiał, zapytał po francuzku szorstkim głosem:

— Czego ksiądz żąda?

Proboszcz wyjąkał:

— Proszę pana o łaskę dla mieszkańców tej wioski. Oni nie winni.

— Podczas wojny bywają wstrętne konieczności — odpowiedział. — Wasi wolni strzelcy, ci nieregularni, codziennie nam zabijają masę ludzi. Trzeba z nimi skończyć nareszcie. Tem gorzej dla wsi, która im daje gościnę.

Ksiądz próbował go przekonać, lecz wszystkie jego rozumowania rozbijały się o niemiłosierną logikę kapitana. Wreszcie, widząc jasno swą niemoc, usiłował wybawić chociaż jednego z więźniów.

— Ułaskaw pan przynajmniej Lorey. On ma żonę i czworo drobnych dzieci.

Kapitan uczynił ruch zdradzający litość, ale odrzekł wskazując papier leżący na stole:

— Rozkazy formalne... Sprzeniewierzyłbym się obowiązkowi żołnierza. Zabito nam trzech ułanów potrzeba nam trzech ofiar.

Proboszczowi pozostało teraz tylko opuścić salę, a jednak nie ruszył się z miejsca. Zapanowało milczenie.

Nagle ksiądz Legrand zbliżył się i prawie zawstydzony, pokornym głosem wyszeptał:

— Nie mam żony ani dzieci... chcesz pan mnie?

Oficer z wyrazem sympatyi utkwił wzrok w proboszcza, niespokojnie oczekującego odpowiedzi.

Po chwili milczenia kapitan odezwał się nareszcie:

— Ksiądz jest jeszcze tak młodym... Trzeba się nad tem dobrze zastanowić.

— Proszę pana...

Nic nie mówiąc, kapitan zaczął pisać. Następnie podniósłszy się i pokazując arkusz papieru, rzekł:

— Oto rozkaz uwolnienia Lorey w miejsce księdza...

Poczem dodał poważnie i smutno:

— Czy pozwolisz, księże proboszczu swoją dłoń?

Ksiądz Legrand spełniwszy życzenie kapitana, szczęśliwy, że zdobył się na poświęcenie, udał się do gmachu szkolnego, gdzie się znajdowali skazani.

Stojący na straży oficer ułanów, nie racząc odpowiedzieć na ukłon proboszcza, wziął podany mu papier. Gdy przeczytał, znikł ostry wyraz twarzy; prostując się i salutując, wyrzekł z uszanowaniem:

— Niech ksiądz będzie łaskaw wejść.

Ksiądz Legrand prosił oficera, aby przyprowadził Lorey.

Więzień, pochylony, z pełnemi łez oczyma, schwycił rękę proboszcza, szepcząc:

— Moja żona... moje biedne maleństwa...

— Odwagi, przyjacielu, miej nadzieję.

Powoli proboszcz oznajmił parafianinowi, że został ułaskawiony. Lorey nie posiadał się z radości; śmiejąc się i skacząc, chciał biedz natychmiast do domu, lecz ksiądz go powstrzymał.

Gdy obaj znaleźli się w pobliżu domu Leroy, proboszcz odezwał się:

— Zaczekaj, ja uprzedzę twoją żonę.

W chatce, kobieta otoczona dziećmi, pracowała płacząc. Ale rozpromieniona twarz proboszcza pocieszyła ją od razu.

— On jest wolny!...

Nie odpowiadając, ksiądz uśmiechnął się.

— W tej chwili przyjdzie.

Mąż i żona padli sobie w objęcia płacząc z radości.

W gmachu szkólnym, w kącie, strażnik polowy Lardeur, dawny żołnierz, z rękoma złożonemi na krzyż, ze stoicyzmem palił fajkę. Przy nim Vincent, młodzieniec lat ośmnastu, opuścił głowę i zdawało się, że śpi.

Ksiądz Legrand usiadł pomiędzy dwoma skazanymi. Chociaż im dodawał odwagi i napominał, młodzieniec szlochał, Lardeur klął. Proboszcz wziął obu za ręce i wiedząc, że go już nie zdradzą, rzekł:

— Trzeba się ostro trzymać. Ty nam dasz przykład stary, wojaku.

— Ksiądz proboszcz będzie z nami? — zapytał strażnik polowy.

— Tak, na miejsce Lorey. Rozumiecie, on ma żonę i dzieci...

Lardeur, zdumiony, zawołał z uniesieniem:

— O, będziemy się trzymali z pewnością!

Uśmiechając się, kapłan uspokoił starego, a następnie zwrócił się do Vincenta z zapytaniem, czy pragnie się wyspowiadać. Młodzieniec zgodził się natychmiast.

— No a ty, Lardeur?

— Ksiądz proboszcz wie, że nigdy nie chodzę do spowiedzi.

— Uczyń to dla mnie.

— Czy to będzie dla księdza taka przyjemność?

— Ogromna, mój drogi.

— A więc dobrze — odpowiedział strażnik polowy.

Proboszcz pozyskał chwilową wolność, aby wykonać ostatnie rozporządzenia. Opuściwszy więc więzienie, polecił zakrystyanowi, aby wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się w kościele o trzeciej.

Po śniadaniu, ksiądz Legrand jak zazwyczaj, wziął kawałek chleba i cukru i wyszedł przed dom. Zobaczywszy go oślica zbliżyła się do niego.

Proboszcz począł ją głaskać, powtarzając:

— Dobre moje zwierzątko...

Gdakanie i trzepotanie skrzydłami zwróciło jego uwagę. Pochylił się, kury i koguty rwały się do ręki; króliki również nie były zapomniane. Dreszcz przebiegł księdza Legrand i z głową pochyloną udał się do ogrodu. Wreszcie otworzył drzwiczki wychodzące na wieś.

Spokojna równina rozciągała się daleko. Sterty, okrągłe jak gołębniki, lub podobne do chat, tworzyły wioski słomiane. Po lewej stronie las bukowy widniał w dali.

Długo ksiądz Legrand wpatrywał się w ten krajobraz, jakby się chciał nim nasycić, poczem zamknął furtkę. Ale wzrok jego zwrócony w górę, wznosząc się ponad mury, zatrzymał się na zegarze kościelnym. Mała wskazówka posuwała się między cyframi I a II, duża przeszła już połowę cyferblatu.

— Za trzy godziny umrę... — pomyślał nagle ksiądz Legrand. Instynktownie położył ręce na piersiach, jakby się broniąc przed kulami, palcami dotykał serca, nie czując jego uderzeń.

Za trzy godziny będzie tylko trupem zamkniętym w trumnie.

W wyobraźni ksiądz Legrand słyszał głuchy odgłos rzucenia ziemi na drzewo.

Drżąc ze wzruszenia, znalazł się przy drzwiach i otworzył je pospiesznie. Oczy jego śledziły uporczywie ścieżkę

biegnącą między polem zasianem do drogi. Myślą wybiegł na tę drogę, a następnie przez lasek posunął się torem dobrze znanym. Tam o kilka kilometrów, leżała stacya kolei żelaznej; ksiądz podniósł głowę; we wsi cisza, nie widać nikogo. Nikt go nie zobaczy, gdy umknie; podąży na stacyę, wsiądzie do pociągu i pojedzie daleko, bardzo daleko, będzie wolnym, żyć będzie!

Z głową odkrytą poruszył się.

— Ale, słowo kapłańskie... a Leroy?

Z oczyma łez pełnemi, ksiądz Legrand zamknął drzwi. Padłszy na kolana, wezwał na pomoc Chrystusa Pana, który przed zbliżającą się śmiercią poznał wszystkie te męczarnie, oblany krwawym potem w ogrodzie Oliwnym. Błagał więc Zbawiciela, aby go nie opuszczał do końca i dodał mu odwagi.

Pokrzepiony modlitwą, przekonawszy się, że samotność podaje mu złe myśli pospieszył do domu.

Najprzód napisał testament. Wielu parafian otrzymało jaką pamiątkę.

Następnie modlił się długo jeszcze z uczuciem gorącem, błagając Najwyższego o przebaczenie za grzechy i oddając się jego dobroci, miłosierdziu i sprawiedliwości.

Gdy trzecia wybiła, zeszedł po schodach. Otworzywszy drzwi, zauważył, że niebo jest zachmurzone i wrócił się po parasol.

Kościół był pełen, jak podczas świąt uroczystych. Wobec nieszczęścia przygniatającego wioskę, nawet najwięksi niedowiarkowie zebrali się około człowieka, który miał nad nimi najwyższą władzę moralną. Ksiądz Legrand przecisnął się przez tłum wiernych i wszedł na stopnie kazalnicy. Skupiwszy ducha i przeżegnawszy się, mówił:

— Drodzy bracia, czuję się szczęśliwym, widząc was w tak dużej liczbie. Będziemy wspólnie modlili się za skazanych. Udało mi się wyjednać ułaskawienie Leroy, lecz już nie otrzymałem go dla Lardeur'a i Vincent'a; widziałem ich i siedziałem z nimi, obaj są gotowi umrzeć po chrześciańsku.

Bez frazesów, w słowach prostych mówił o obowiązku poświęcenia i miłości kraju. Wyrazy księdza przejęły dreszczem to zgromadzenie, którego ideały obracały się zwykle około spraw materyalnych. Jedna z kobiet wydała okrzyk boleści i zemdlała; była to matka Vincent'a. Wyniesiono ją natychmiast a kapłan, chcąc odwrócić uwagę tłumu oznajmił:

— Odprawię nabożeństwo za dusze zmarłych.

I ksiądz Legrand silnym głosem zaintonował De profundis. Następnie pobłogosławił wiernych, a zaleciwszy raz jeszcze spokój i rezygnacyę, radził wrócić do domu.

Widziano go idącego w stronę szkoły z parasolem w ręku.

Nazajutrz mieszkańcy wioski otrzymali wiadomość, że proboszcz został rozstrzelany.

Rozmaitości.

* **Najdłuższy tunel** na świecie posiadać będą za lat siedm Stany Zjednoczone. Tunel długości 50 mil angielskich ciągnąć się będzie pod górą Pikes Peat i sąsiedniemi wzgórzami w Colorado. Główna linia tunelu zaczyna się w pobliżu miasteczka Colorado City i kończy się przy »Four Mile Creek«, we Fremont County, sześć mil od głośnego Cripple Creek, w pobliżu wioski Slenk. Tunel przeprowadzony będzie pod samą górą Pikes Peak w głębokości 7.000 stóp od jej wierzchołka i 2.700 stóp pod miastem Victor. Przeciętna głębokość tunelu pod powierzchnią ziemi wynosi 2.800 stóp. Tunel służyć będzie nietylko do szybszej komunikacyi pomiędzy rozmaitemi miejscowościami z obu stron łańcucha gór, lecz także do zbadania pokładów mineralogicznych. W tym celu porobione będą tunele uboczne w głębi 2.800 st. pod całym łańcuchem gór Cripple Creek. Roboty z obu końców tunelu już rozpoczęto. Według obliczeń przedsiębiorców, koszt jednej stopy tunelu wyniesie 80 dolarów, a całego tunelu 21 milionów dolarów. Kopalnie minerałów, które mają nadzieję znaleźć w głębi ziemi, mają zwrócić całą sumę. Roboty ukończone będą dnia 1-go stycznia 1904 r.

* **Wulkan podmorski** wybuchnął na północnym brzegu archipelagu Nowych Hebrydów, z hukiem kilkudziesięciu armat. Następnie przez cztery dni wyrzucał olbrzymią masę czarnej szlamowej wody i okruchów skał. Wysokość, do jakiej wznosiła się woda, dochodziła do 30 stóp. Godnem uwagi jest to, że wyrzucone masy skalne zakreślały w powietrzu łuk i spadały w kierunku południowo-wschodnim, aczkolwiek wiatr wiał właśnie od tej strony.

* **Walka dwu wężów-olbrzymów.** W ogrodzie zoologicznym wiedeńskim rozegrała się przed kilku dniami w porze karmienia zwierząt scena w równym stopniu zajmująca, jak wzruszająca. Pomiędzy innymi potworami stref podzwrotnikowych, otrzymały były także olbrzymie węże-dusiciele swój żer codzienny: żywe króliki i kury. Wygłodzone widocznie, rzuciły się łakomie na swe ofiary, gdy w tem dwa największe ich okazy, które są w stanie zdusić na śmierć najsilniejszego mężczyznę w swych żelaznych uściskach, rozpoczęły ze sobą walkę zaciętą. Mianowicie jeden z nich udusił był królika i zabierał się

do połknięcia go, gdy drugi postanowił odebrać mu łup gotowy. Zaczepiony nie dał jednak za wygraną i schwycił rozwartą paszczą napastnika za głowę, poczem oba okazałe rozmiarami i siłą muskularną cielska zaczęły potężnymi kłębami tłuc sobą o podłogę. Po dłuższych wysiłkach, udało się wreszcie dozorcom rozdzielić zapastników, z których każdy cofnął się, chwilowo pokonany, do innego kąta klatki. Lecz tej zwady węże nie zapomniały widocznie, gdyż tego samego dnia wieczorem, bez jakiegokolwiek powodu, rzuciły się ponownie na siebie i z większą, jak poprzednio wściekłością, rozpoczęły straszliwsze zapasy. Zgroza zdejmowała patrzeć — opowiadają naoczni świadkowie — jak te ociężałe i niezgrabne, a jednak niesłychanie giętkie potwory usiłowały opasać się wzajemnie, jak rozwierały ku sobie paszcze, jak małe ich oczka błyskawicami miotały. Na rozjemcę przywołano po niejakim czasie doświadczonego w takich wypadkach inspektora zakładu, Perzinę, któremu też powiodło się rozdzielić rozszalałe bestye. Lecz przy tej robocie o mało co sam nie poniósł śmierci, gdyż jeden z wężów już się zamierzał pochwycić go w swe zabójcze objęcia, szybkim jednak skokiem, uszedł Perzina niebezpieczeństwa.

* **Testament morfinisty.** Trybunał cywilny w Beauvais, rozstrzygał w tych dniach ciekawe z punktu prawnego pytanie: czy testament morfinisty jest dokumentem prawomocnym? W Beauvais znaleziono zwłoki znanego adwokata paryskiego i poety Edwarda Dubus. Przy zwłokach leżała strzykawka do morfiny. Jak objaśnia sam zmarły w testamencie, od dłuższego już czasu oddawał się namiętnie morfinomanii i w końcu przez zastrzyknięcie niezwykle wielkiej dawki morfiny, odebrał sobie życie. Na krótko przed zgonem Dubus odziedziczył spadek, wynoszący 600.000 fr. i generalną spadkobierczynią tego majątku mianował w testamencie swą przyjaciółkę. Wobec tego rodzina zmarłego wystąpiła do sądu o zwalenie testamentu, dowodząc, że morfinomania odbierała możność prawomocnego sporządzenia takiego aktu, jak testament. Sąd żądaniu temu odmówił, wychodząc z zasady, że ponieważ morfinomania w prawie karnem nie znosi odpowiedzialności za czyn przestępny, nie może przeto również w sprawach cywilnych być powodem zniesienia prawomocności aktów.

ZAGADKI.

1.

1. Litera.
2. Miasto w gubernii podolskiej.
3. Drzewo szpilkowe.
4. . . . .
5. Imię żeńskie.
6. Tytuł turecki.
7. Samogłoska.

Środkowe litery i rząd środkowy utworzą imię ukochanej królowej polskiej.

2.

a g e l o p
m i n a n j
z a n k a j
y z s i w a

Odczytać znane przysłowie odgadnąwszy, według jakiej pisowni ułożone?

Rozwiązanie zagadki z Nr. 29:

O	D	Y	N	I	E	C
G	A	E	O	R	R	Y
R	L	D	G	Y	V	T
O	I	D	A	S	U	R
D	E	O	T	Y	M	A

Dobrze odgadli pp.: Jan Badura i Aleksander Drabik z Roździenia, Józef Knopp z Zabrza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.